

## Przybyszewski w „Teatrze Nowym” w POSK-u

Stanisław Przybyszewski, nazywany przez współczesnych „Meteorem Młodej Polski” — jak meteor spalił się szybko. Olsniewające światło jego prozy, jego niekonwencjonalnego sensacyjnego życia, jego satanicznego wpływu na otoczenie, fascynacją jaką budził, mimo legendy jaką tworzyli jego wielbiciele — prędko meteor ten stracił swój blask i znikł na ciemnym niebie. Wpadał w zapomnienie coraz głębsze. Nie czytany, jego sztuki nie wystawiane — zapadał w niepamięć. Legenda o nim trwała dłużej — niż zainteresowanie nim jako twórcą nowego ruchu w literaturze — tzw. moderny.

W latach niepodległości — grany był rzadko, niewielu czytelników miało cierpliwość czytania jego satanicznych, przeważnie autobiograficznych powieści. W ostatnich latach w Polsce zainteresowanie dla Przybyszewskiego — i jakby do całej „moderny” wróciło. Kilka jego sztuk doczekało się nowych premier. Między innymi „Śnieg”.

Nie przypuszczam, że ktokolwiek ze starszego pokolenia, od wojny znajdujący się poza Polską, widział jakkolwiek sztukę Przybyszewskiego. Tym większa to zasługa Teatru Nowego że pokazał nam w Teatrze Polskim w POSK-u, sztukę uchodzącą za jedną z jego najlepszych — „Śnieg”.

Sztuka ta zawiera wszystkie dobre i złe cechy piśmiennictwa Przybyszewskiego. W uszach współczesnego widza — dziwnie, czasem nawet nieznośnie, brzmią te typowe dla „przybyszewszczyzny” wzdychania, tęsknoty duszy, magia ciemnego lasu, głębie czarnego jeziora, perwersyjny pociąg do wszystkiego, co pachnie śmiercią. Aż się czasem chce zawołać: „ale oni mieli kłopoty!”. Powoli jednak urok, poezja, ponad rzeczywistość tej bajki nieszczęśliwych ludzi, którzy nie widzą, nie chcą widzieć, że szczęście leży im u stóp — wciągają, rozmarzają a nawet wruszają.

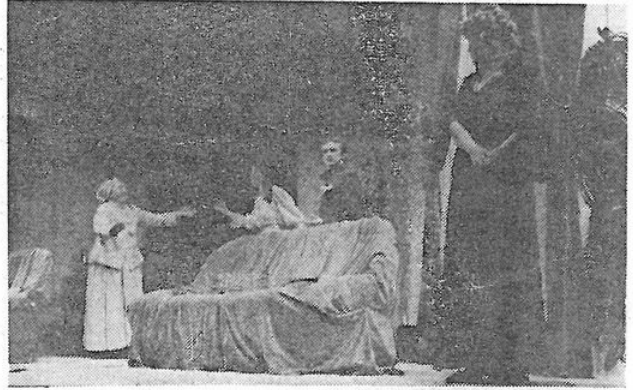
Reżyserka przedstawienia Maria Wachowiak pokazała sztukę, realistycznie, (może za?), dosłownie, lirycznie. Liryzm ten rozmazywał czasem kontury postaci. Ciekawa jestem, jakby wypadł ten spektakl potraktowany ironicznie, traktujący bohaterów jak kabotynów (może za mocne słowo), jak ludzi zgrywających się na „nagą duszę”, a tą nagą duszą jest po prostu lenistwo, brak prawdziwych zainteresowań i ... brak kłopotów. Kto dzisiaj może pozwolić sobie na strawienie życia wyjącej tęsknocie, czy w egzaltacji nieszczęśliwej czy chorej miłości. No, ale to wszak Przybyszewski — powinno się wiedzieć czego oczekiwać. A przyjemne było oczekiwanie tego spektaklu w wykonaniu tego samego zespołu, który pokazał nam „Ich czworo” Zapolskiej.

Po wzniesieniu się, bardzo nastrojowej kurtyny, czarująco ludzkiej ze przed nami pada śnieg — ukazało się wnętrze — powitane oklaskami publiczności, czego nie pamiętam od czasów Tadeusza Orłowicza. Janusz Guttner wyciągnął scenę w górę, zarysował ją pięknymi architektonicznie oknami — za oknami padał śnieg. Scena była olsniewająca w swoim szkarłatnym bogactwie — efekt niezwykły, ale po pewnym czasie czerwień ta zaczęła męczyć i wydawała się kontrastować z poetyckim, nierealistycznym tekstem i postaciami sztuki. Przyszły mi na

### Tamara Karren

myśl dwie realizacje sztuk z tej samej epoki — całe w bielach i szarościach. Czy nie oddałyby bardziej nastroju takie biele — niż bulwarowe czerwienie? Niezależnie jednak od tej mojej „białej mrzonki” — scenografowi należą się duże gratulacje.

dziwy spacer. Niewielką, ale bardzo ważną rolę Makryny — opiekunki, rodzicielki, tej co daje i odbiera życie — pięknie zagrała Maryna Buchwaldowa. Wydawało się że dopiero ona zaprowadziła ład w całej tej historii (tak zamierzał zresztą Przybyszewski). Radowało też że lokaja zagrał ulubieniec nas, starszej generacji — Roman Ratschka — nie



„Śnieg” w POSK-u od lewej: Maryna Buchwald, Zofia Walkiewicz, Wojciech Piekarski, Dorota Zięciowska

Trudno mi pisać o aktorach — znam ten zespół utalentowanych, szczerych i wrażliwych aktorów. Byłoby obrazą ich, gdybym stosowała do nich tzw. „taryfę ulgową” i zbyła ich zdawkowymi komplementami.

Delikatna, wrażliwa Zofia Walkiewicz miała piękne momenty — wruszała swoją bezradnością i szczerością. Często jednak stwarzała wrażenie bardziej trzpiotki, niż histerycznie nawet kochającej i przerażonej żony. Jeśli już krytykuję — to głosowo jest ona zbyt mało zróżnicowana i trzyma głos na zbyt wysokich rejestrach. Dorota Zięciowska, którą znamy z wielu pięknych kreacji, nie czuła zdaje się dobrze jako demoniczna Ewa. Wyglądała pięknie, piękne też miała toalety (może trochę dziwne, że wczesnym rankiem, gdy druga kobieta — Bronka — jest jeszcze w porannym negliżu — Ewa już cała w koronkach). Wojciech Piekarski, gorący, pełen wnętrza aktor i tym razem nawiązał kontakt z publicznością. Czwartą z „młodych” Daniel Woźniak, stworzył chyba postać najbardziej wiarygodną i najbardziej przekonującą — „pocziwy, niedźwiedziowaty Kazimierz!”.

Scena przed ostatnią — nie chcę zdradzać jej treści — za mało zaangażowała nasze emocje. Nie bardzo, niż gdyby ta para szła na praw-

tylko, że tę małą rolę zagrał z wdziękiem, ale radowało że w tym młodym zespole „Teatru Nowego” zagrało dwóch doskonałych aktorów ze starszej generacji — „weteranów” naszego emigracyjnego teatru i że dowiedli że teatr łączy, a nie dzieli. Oboje byli zadowoleni z współpracy z młodymi kolegami.

Im ambitniejsze nasze teatralne zamierzenia — tym bardziej wydłużą się lista współpracowników i pomocników. Obyczajem angielskich recenzentów — nie wymyślę ich. Nie mogę jednak nie wspomnieć o pomocy przy kostiumach „pogotowia ratunkowego” — Jadwigi Matyjaszkiewiczowej.

O kim naprawdę trzeba powiedzieć parę słów — to o „spiritus movens” tego przedstawienia — a raczej wszystkich innych przedstawień w POSK-u, niezmordowanej, powołanej, jeśli nie opętanej teatrem, najbardziej i najbezinteresowniej oddanej teatrowi — Urszuli Świącikiej. Chciałabym aby sobie wszyscy (wielu zdaje sobie z tego sprawę — i wysłuchałam na ten temat nie jeden wyraz podziwu) uświadomili, że bez niej nie byłoby tego teatru. A przecież nawet z paroma słowami krytyki — to był piękny wieczór prawdziwego teatru. Nastroju dodawała ilustracja muzyczna (Sonata Skrzypcową Czesa- rogo Franca).

\*\*\*\*\*